

GALUSZKA IRENA z domu BILYK, córka Teodora i Katarzyny urodzona 25 VIII 1930r w Konopnicy koło Lwowa.

Mieszkaliśmy w Konopnicy koło Lwowa. Rodzice mieli gospodarstwo rolne, budynek mieszkalny i zabudowania gospodarcze. Pamiętam, że ojciec ukrywał się/z jakiego powodu tego nie wiem/, w domu mało przebywał. W lutym zachorował na zapalenie płuc. Z tego powodu leżał w domu, był obłożnie chory.

W nocy 10 II 1940r zbudziło nas ze snu głośne pukanie. Mama wstała otworzyć drzwi. Do mieszkania weszło dwóch cywili i dwóch radzieckich żołnierzy z karabinami. Odczytali jakieś pismo, rozkazali ubrać się. Pozwolili wziąć podręczny bagaż.

Mama ubierała mnie i płakała. Ja też się rozpłakałam. Później pomogła ubrać się ojcu. Wzięła mały węzełek, ale nie pamiętam co w nim miała.

Tato poprosił, aby wzięła kasetkę, w której było lekarstwo. Ojciec nie miał siły iść. Dwaj żołnierze wzięli ojca pod rękę i podtrzymując wyprowadzili go z mieszkania. Na podwórku ciągnęli po śniegu do sań. Mama i ja szłyśmy obok.

Wsiedliśmy do sań, a przy nas usiedli żołnierze i cywile. Dojechaliśmy na dworzec kolejowy we Lwowie. Na bocznicę stał pociąg towarowy. Wsiedliśmy do wagonu, w którym byli już ludzie. Podaję nazwiska osób z naszej miejscowości:

- 1/ Rodzina Kormalitów z córką Heleną i synem Czesławem
- 2/ Korwańska Olga i Leon
- 3/ Hrabia Łoś z żoną

Ojciec leżał na podłodze z mężczyznami. Ja z mamą zajęłam miejsce na górnej pryczy, gdzie były kobiety i dzieci. Pośrodku wagonu stał żelazny piecyk, a w kącie dziura w podłodze jako ubikacja. Okienka małe zakratowane. Wagon zamknęli od zewnątrz.

Na dworcu kolejowym staliśmy cały dzień. Nie dali nam nic do jedzenia. Nie wiedzieliśmy gdzie nas wiozą.

Ojciec miał przy sobie kasetkę z lekarstwami. W kasetce były również żyłki. Wieczór ojciec podciął sobie gardło. ktoś z mężczyzn zauważył, wezwał pomoc.

Przyszedł polski lekarz. Zapytał kto to zrobił. Ojciec nie mógł mówić, tylko pokazał ręką na siebie.

Ułożyli tatę na noszach, okryli go jego pelisą. Pożegnaliśmy się z nim. Ojca wynieśli z wagonu. Wkrótce pociąg odjechał.

Jechaliśmy nocą, a w ciągu dnia pociąg stał na bocznicach. W czasie postoju strażnik zabierał dwie osoby z wagonu, którzy przynosili zupę, małe porcje czarnego gliniastego chleba, wodę. Czasem była kasza jaglana z olejem. Taki posiłek otrzymywaliśmy przeważnie co drugi dzień. W czasie postoju przynosili również drzewo do palenia w piecyku.

W piecyku paliło się ciągle, ale w wagonie było tak zimno, że mamie przymarzł warkocz do ściany wagonu. Kilka osób przeziębilo się. Chorym nikt nie przyszedł z pomocą.

Trudno zapomnieć jak zrozpaczona matka trzymała na rękach zmarłe dwuletnie dziecko. Żyłek nie chciała oddać strażnikowi.

W czasie podróży przesiedliśmy się do innego pociągu, również towarowego. Przez całą drogę pociąg odjeżdżał i zatrzymywał się tak raptownie, że spadaliśmy z nar.

Rozkazano nam wysiąść na stacji /nazwy stacji nie pamiętam/. Na dworcu kolejowym wsiedliśmy do stojących samochodów ciężarowych, krytych plandeką. Samochód jechał po wyboistej drodze, podrzucało nami. Dusiliśmy się od spalin. Wymiotowałam. Później wieźli nas jeszcze saniami. Woźnicy ubrani byli w kożuchy "tułupy". Myśmy były tak zmarznięte, że już mało reagowałam.

W ten sposób dojechaliśmy do posesiłka: Tyłaj, rejon Isowski obłast Swierdłowski.

Zamieszkałyśmy w baraku, gdzie były prycze piętrowe i żelazny piecyk do palenia.

Przed barakiem leżała sterta pociętego drzewa. Mama ~~zmarła~~

z sąsiadką z baraku, wzięła kilka polan, aby zapalić w piecyku. Strażnik zauważył. Rozkazał, by drzewo odniosły na stertę, poszły do lasu i narąbały drzewa. Zrobiły tak jak polecił.

Po przyjeździe miejscowi Rosjanie, również zesłańcy, z 1933r przynieśli do baraku dla dzieci mleko i placki.

Następnego dnia zaprowadzili nas do łaźni. Po kąpieli mieliśmy spotkanie z komendantem obozu. Powiedział do nas: "Osoby dorosłe będą chodziły do pracy, a dzieci do szkoły. Tu jest teraz wasza ojezyczna".

Mama przesiewała piasek nad rzeką /nazwy rzeki nie pamiętam/. Pracowała od świtu do zmroku, bez wolnych dni. W stołówce jeden raz dziennie otrzymywałyśmy zupę - kapuśniak, lub kotlety z grzybów z robakami. Mama jako pracująca otrzymywała czterdzieści dekagramów chleba, a ja dwadzieścia dekagramów. Po chleb na kartki trzeba było iść do sklepu, na drugą stronę rzeki, przechodzić przez kładkę. Bardzo się bałam chodzić. Rzeka szeroka, płynęło nią spławiane drzewo.

Chodziłam do rosyjskiej szkoły. Otrzymałam jeden zeszyt i ołówki. Książkę miała tylko nauczycielka. W szkole zaprzyjaźniłam się z Klarą, córką kierowniczką sklepu. Klara częstowała mnie chlebem, zapraszała do domu na herbatę z samowaru i bliny.

W 1942r zamieszkałyśmy z mamą w u Rosjanki, której mąż był na wojnie. Gospodyni miała cztery córki. Chodziłam z nimi do szkoły. Mieszkałyśmy razem w jednej izbie, ale spałam z mamą na łożku. W tym czasie polskie rodziny otrzymywały paczki żywnościowe z darów. My otrzymałyśmy: masło w puszkach, figi, mąkę. Innym razem koc, sukienkę, czapkę, buciki. Była to dla nas znacząca pomoc, gdyż cierpiałyśmy głód. Chorowałam na kurzą ślepotę.

Mama od 1941r pracowała w lesie. Ścinała drzewa. Do pracy chodziła w łapciach z żyka. Poślizgnęła się i upadła. Zanim zdążyła wstać, spiłowane drzewo spadło, przygniotło jej stopy. Wypadkowi uległa w 1942r.

Polacy przynieśli mamę na rękach. Rosjanka składała stopy, zawijała szmatami. Mama leżała, a za potrzebą fizjologiczną wy-

wychodziła na kolanach. W czasie choroby otrzymywała dwadzieścia dekagramów chleba tak, jak i ja. Wspomagali nas miejscowi ludzie. Dawali mleko, łupiny z ziemniaków.

Na wiosnę przekopałam małą działkę. Rosjanie dali łupin z ziemniaków, które posadziłam. Ziemniaki wyrosły.

Łowiłam ryby szpikulcem. Piłyśmy z mamą sok z brzozy. Zbierałam grzyby, jagody, orzechy. Czasem sprzedawałam coś z ubrania.

Po pół roku leżenia, mama podpierając się kijem utrzymywała się na nogach.

W jesieni 1943~~34~~ zostaliśmy wszyscy przesiedleni. Polacy pomogli mamie dojść do sań. Zostaliśmy przewiezieni do dworca kolejowego. Ponownie pomogli ^{mamie} przejść od sań do wagonu. W czasie podróży kiedy pociąg zatrzymywał się można było wyjść z wagonu. Wagony nie były zamykane, ale strażnicy z nami jechali. W czasie podróży jeden raz dziennie otrzymywaliśmy zupę.

Po dwóch tygodniach zakończyła się nasza podróż pociągiem. Ze stacji wieźli nas furmankami zaprzężonymi w wozy, do sowchozu im. Karola Marksa, rej. Czaplinski, obłast Chersońska.

Mamę znieśli z furmanki. Przewodniczący kołchozu na widok mamy i mnie załamał ręce i powiedział: "O Boże, co ja z wami zrobię".

Zamieszkałyśmy u rodziny ukraińskiej, z nimi w jednej izbie. Spałam z mamą na pryczy pod kocem z darów. W piecu paliło się słomą lub kiziakami.

Przez pierwszy miesiąc ~~pebytu~~ chodziłam po prośbie. Wspomagali nas również miejscowi ludzie. Na wiosnę plewiłam plantacje melonów, arbuzów. Następnie zatrudnili mnie w biurze. Kreśliłam formularze według wzoru.

Zapisywałam udój mleka. Sam przewodniczący gospodarstwa nauczył mnie kraść mleko. Powiedział: "Ireczka, idziesz przez rzekę, to zamoczysz nogi, więc tak rób i z mlekiem".

Od tej pory zapisywałam ile mleka daje każda krowa, ale zmniejszałam o ilość mleka jaką zabierałam dla siebie. I tak

nauczyłam się kraść także zboże. Stróż, który pilnował plantacji melonów, sam powiedział, abym przychodziła wieczorem po melony. Chodziłam cztery kilometry na plantacje. Stróż udawał, że mnie nie widzi, a ja brałam melony i wracałam do mamy.

Miałam nawet jedną kurę z kurczętami. Przynosiłam do domu wszystko co udało się zdobyć. Dzięki pomocy ludzi, może już tak bardzo nie cierpiałyśmy głodu, ale mama ciągle chorowała. Chodziła z trudem, podpierając się kijem. Sił miała coraz mniej, kaszlała.

O zakończeniu wojny dowiedziałyśmy się z głośnika radiowego który był w biurze w sowchozie. Ludzie płakali z radości. Płakali również ci, do których przychodziły zawiadomienia o śmierci bliskich.

Myślałyśmy o powrocie do domu. Mama bardzo chciała wrócić, ale coraz częściej płakała. Mówiła: "napisz do cioci, aby ciebie wzięli - jeśli umrę". Podawała mi wskazówki jak mam żyć, gdy zostanę sama.

Wieczorem 31 XII 1945r mama czuła się bardzo źle - umierała. Gospodyni wyszła z mieszkania. Zostałam sama z umierającą mamą. Zaczęłam głośno płakać. Wówczas z sąsiedniego domu przyszła starsza kobieta. Przytuliła mnie, powiedziała abym nie płakała, bo przeszkadzam mamie.

Mama prosiła, aby odwrócić ją na bok w stronę ściany. Odwróciłyśmy ją, a za chwilę mama zmarła.

Ta starsza kobieta, nazywałam ją babcią /nazwiska jej nie znam/ umyła mamę, ubrała,

Przewodniczący sowchozu Iwan Iwanowicz był dobry dla mnie, ale leżał w szpitalu. Zastępowała go kobieta. Prosiłam ją o deski na trumnę dla mamy. Odpowiedziała: "nie ma desek".

Deski ukradłam ze spichlerza. Polacy zrobili w nocy trumnę. Rano wykopali w stepie grób. W dniu 2 I 1946r był pogrzeb. Trumnę wieźli na saniach. Na pogrzebie było kilka osób. Nad otwartą mogiłą odmówiliśmy modlitwę, trumnę złożyli do grobu, zasypali.

Po powrocie z pogrzebu, rozdałam rzeczy jakie pozostały po mamie. Za życia mówiła, że mam tak zrobić.

Babcia radziła, abym wzięła ziemi z mogiły do woreczka i ona pojedzie ze mną do cerkwi.

Wyprosiłam w sowchozie wóz dwukółkę. Babcia wzięła chleb, a ja miałam ziemię. Pojechaliśmy do cerkwi, odległej o trzydzieści kilometrów.

W cerkwi odbyło się nabożeństwo. Załatwiła to babcia. W czasie nabożeństwa ja trzymałam cały czas ziemię, a ona chleb.

Wróciliśmy do sowchozu. Oddałam dwukółkę. Poszłam w step i mogiłę mamy posypałam poświęconą ziemią.

Po śmierci mamy chcieli zabrać mnie do domu dziecka, ale odmówiłam.

Napisałam list do cioci. Odpowiedź otrzymałam szybko. Wujek Rudolf Jasonek napisał, abym do nich przyjechała.

Ze znajomą z Tarnopola, bez zezwolenia wyjechałyśmy z sowchozu. W Odessie zgubiłyśmy się. Na dworcu kolejowym pytałam o pociąg jadący w kierunku Lwowa. Jechałam na stopniach wagonu towarowego, na dachu. W ten sposób nie tylko ja jechałam, ale wiele ludzi.

Jeśli na jakiejś stacji czekałam na pociąg, to w tym czasie zebrałam. Przeważnie żołnierzy prosiłam o kawałek chleba. Spałam również na dworcach kolejowych. W Żytomierzu zasnęłam. Pod głową miałam węzełek. Drugi trzymałam w ręku, dlatego, bo w nim miałam obrączkę mamy. W czasie snu skradziono mi ten węzełek z obrączką.

Na dworcu Podzamcze-Lwów sprawdzali dokumenty. Nie miałam dokumentów. Tłumaczyłam się, że zgubiłam mamę. Żołnierz powiedział do mnie: "Posiedzisz nockę, to i mama się znajdzie. Rano zwolnili mnie, powiedzieli, abym poszła szukać mamy.

Na targu podeszłam do stoiska z chlebem. Poprosiłam o chleb powiedziałam, że wracam z Sybiru. Zapytałam jak mam jść do miejscowości Zimna Woda. Sprzedawczyni dała mi chleb i wskazała drogę.

Wieczorem 25 V 1946r byłam w Zimnej Wodzie. Ciocia i wujek przyjęli mnie serdecznie, mimo że warunki materialne mieli raczej trudne, a swoich dzieci pięcioro.

Od wujka dowiedziałam się co było dalej z moim ojcem. Wujek został zawiadomiony przez kolejarza, że ojciec jest w szpitalu we Lwowie. Kiedy przyszedł do szpitala, ojciec już zmarł. Rozmawiał z polskim lekarzem, chciał zmarłego ojca zabrać, zająć się pogrzebem.

Lekarz do wujka powiedział te słowa: "Nie mów, że kiedykolwiek widziałeś tego człowieka. On zostanie pochowany we wspólnej mogile". Oddał wujkowi pelisę i dodał: "może się jeszcze przydać".

Rozpoczęłam naukę w szkole krawieckiej. Naukę ukończyłam w 1948r. Zaczęłam pracować w zakładzie krawieckim. Z pelisy uszyłam sobie płaszcz.

W 1952r wyszłam za mąż, a 22 XI 1958r przyjechaliśmy do Swidnicy.

Za zgodność: - - - - -

Irena Gałuszka
Biłok-Gałuszka Irena
58-100 Swidnica
Rynek 7/4

Swidnica, 8 I 1992r

Czesława Tarnawska

wspomnienia spisała
Czesława Tarnawska